

Rewolucja w ewolucji

6 września 2020

Teoria Karola Darwina o powstawaniu gatunków była od samego początku przedmiotem tak wielu sporów, że nie dziwota, iż nagromadziło się sporo nieporozumień. Warto by więc rozjaśnić niektóre aspekty tematu.

Ocena wpływu losowości zdarzeń na prędkość przebiegu ewolucji to jedna z niejasności. Jako fakty, które winny dyskwalifikować przypadkowość, podaje się zazwyczaj: „cudowną” budowę oka, złożoność struktury kwasu DNA (dziesiątki miliardów par), albo to, że niemożliwe jest, aby małpie udało się odegrać mazurka Szopena, byle tylko dostatecznie długo uderzała w klawisze, itp.

Nowe światło na przebieg ewolucji (i definicję życia) rzuciło odkrycie w 1868 roku kwasu DNA, zaledwie dziewięć lat po ukazaniu się „O powstawaniu gatunków” Karola Darwina. Znacznie ważniejsze stało się odczytanie struktury DNA sto lat później, a ostatnio udowodnienie, że otoczenie także zmienia u osobnika treść odziedziczonego od rodziców kodu, co przenosi się na kolejne potomstwo. Absolutną rewelacją jest informacja, że dotyczy to także przeżywanych emocji, na przykład traumy, radości, pożądania.

Tak samo ważne były równoległe prace chemików i fizyków, które wytłumaczyły, jak bardzo katalizatory, biokatalizatory (enzymy) przyspieszają procesy przyrodnicze. Jak również „katastrofy” (pożary, wymieranie gatunków, promieniowanie, wulkany, meteoryty itp.), które w przyrodzie są zjawiskami całkowicie naturalnymi, więcej: niezbędnymi.

W tym samym czasie matematyczna teoria chaosu przeorała wiedzę o roli przypadku w naturze, wykazując między innymi, że chaos nie jest wszędzie jednakowy. Miejscami jest niespodziewanie uporządkowany, ale też i podatny na bodźce. Dzisiaj już wiemy,

że skutki drobnych przyczyn bywają niekiedy potężnie wzmacniane: efekt motyla, fraktale. Słowo „chaos” zmieniło swoje tradycyjne znaczenie.

Natura wyprodukowała oko kilkadziesiąt razy niezależnie na różnych kontynentach, w różnych okresach, u różnych istot; także i cztery łapy, i rogi, i ogon, i pióra, i ryj... nie przypadkiem, a na zapotrzebowanie cech ułatwiających przeżycie. Te narządy wcale nie są takie „cudowne”, posiadają całkiem sporo niedoróbek (zmysły zwierząt tysiąckrotnie przewyższają zdolności ich ludzkiego „pana”).

Ewolucja swoją prędkość dostosowuje do tempa zmian w danym otoczeniu. Stąd tak wielkie bogactwo gatunków. Gdzieś świetnie radzą sobie organizmy z kilkoma zaledwie komórkami nerwowymi, a gdzie indziej innym nie starczy nawet 100 000 000 000 neuronów, by przeczytać tekst ze zrozumieniem.

Śmiało więc można postawić tezę, że 4,5 miliarda lat to dość czasu na powstanie i zupełne wyginięcie ziemskiego życia wręcz kilka razy. Nawet inteligentnego, cokolwiek przez to rozumiemy. W końcu od kiedy eksplodowała ludzka inteligencja, minęło zaledwie 2 miliony lat.

Przebiegu ewolucji ziemskich istot już się nie odtwarza z niekompletnych szkieletów, ale z analizy rozwojowych zmian w budowie poszczególnych organów. Właśnie na podstawie kodu DNA; ale też, o dziwo, analogię odnajduje się w etapach rozwoju płodów.

Na poziomie atomowym i cząsteczek procesy są takie same dla materii nieożywionej, jak i żywej. Tam nie ma rozróżnienia. Tlen z wodorem łączy się w wodę tak samo w człowieku, jak i w kamieniu. Od jakiego stopnia skomplikowania materii zaczyna się więc tak zwane życie?

Nie posługując się ścisłą definicją, bo takiej nie ma, a przyjmując z konieczności jedynie warunki brzegowe, jakie życie winno spełniać (rozwój, reprodukcja, mutacja,

wykorzystywanie zewnętrznej energii itp.), dochodzimy też i do takiego wniosku, że nie musi mieć ono znanej z Ziemi postaci białkowej, a do jego opisu nie jest potrzebna terminologia wyłącznie biologiczna. Można zacząć mówić o biologii syntetycznej.

Inna z nowych nauk – astrobiologia – twierdzi, że życie powstało w wielu miejscach w różnym czasie. Jego pierwocyny, skomplikowane związki chemiczne, znajdowano na meteorytach wielokrotnie. Odmienne formy życia mogą być przez nas całkowicie nierozpoznawalne. Ewolucja przebiega na wszystkich poziomach: od kwarków do galaktyk, dysponując energią całego Kosmosu.

Trzeba mieć ogromną satysfakcję, że żyje się w czasach, w których człowiek wylądował na Księżycu, Polak został papieżem, upadł komunizm, zagrożenie głodem albo wojnami odchodzi w siną dal. Nie liczyliśmy na to, że w tym pokoleniu doczekamy odpowiedzi na pytanie, jak powstało życie – a jednak dostaliśmy odpowiedź całkiem zadowalającą. Od nauki.

Na czasowej skali Ziemi nie ma żadnego przystanku dla jakiegoś specjalnego aktu kreacji życia w jednej chwili. Kreacjonizm ciągle tkwi w niektórych głowach głównie z powodu nieuświadamiania sobie, jak radykalnie treść genomu się z nim rozprawiła.

Prymitywne kategoryzowanie ludzi na wierzących i nie, na szczęście zanikające, zupełnie nie pomaga w próbach udzielania odpowiedzi na pytania zasadnicze. Im odpowiedzi prostsze, tym są bardziej wiarygodne. Jeśli czegoś nie da się wytłumaczyć w kilku krótkich zdaniach, oznacza to, że mamy do czynienia nie z ugruntowaną wiedzą na dany temat, a tylko z przypuszczeniami albo z krętactwem.

Jeżeli Bóg istnieje, to gdzie jest dowód na to? Gdzie On jest?

Dowód w tej zasadniczej kwestii wykazać jest bardzo łatwo, ponieważ jest nim (i Nim) wszystko dookoła: cała rzeczywistość

namacalna oraz nie – z całą materią, która nas otacza. Więc też ten przedmiot, na który teraz patrzymy, wraz z jego jakąś, bo niełatwą do ogarnięcia, transcendencją. I każdy siniak na naszym ciele, jako bolesne i codzienne doświadczanie tego dowodu.

Tak łatwo przywykamy do tej „normalności”, że szybko o jej istnieniu zapominamy, przestajemy widzieć ją jako ten ważny Wielki Ślad – dalej go kompulsywnie szukając, jakby czegoś dodatkowego, osobnego. A przecież myśl, że Bóg stworzył coś dodatkowego obok Niego jest logicznie sprzeczna z Jego absolutnością.

Na drugie pytanie: dlaczego, po co, istnieje to coś (ta Rzeczywistość-Bóg) zamiast nic – odpowiedzi brak. Albo nie jesteśmy w stanie jej pojąć. Jeśliby nawet istniała, to zredukowałaby ona mistycyzm Boga do materialistycznej prawdy naukowej. I wcale by się nam to nie podobało. Zostawmy „dlaczego?” w sferze metafizyki.

Czy ta idea, uwolniona od mozolnie wymyślonej meandrycznej ornamentyki z wielu półbogów i dziwnych opowieści, nie staje się dzięki temu bardziej wiarygodna? Czy jest za skromna, by wywoływać nawet najsilniejsze przeżycia duchowe?

Wszystkie religie obciąża dość istotna wada, jakoś niezauważana: charakterystyczne lokalności czasowe i etniczne (nawet osobowe), poza którymi one nie istnieją wraz ze swoimi bogami. Czy Jezus, Dżizus, Joszua, Jezui, Chesus, Icyc, Yexus, Gesu, Iso, uJesu to naprawdę ta sama postać dla wszystkich?

Rozumowanie zaprezentowane w powyższych akapitach nie jest bezbożne, a całkiem przeciwnie: odrzuca bowiem ateizm (nadto przy tak pokrętnej jego definicji), jako negujący Boga-Rzeczywistość. Prędzej jest zbliżaniem się do znanego, wiekowego już panteizmu (stoicy, Giordano Bruno, Baruch Spinoza), który mówi o Bogu, jako absolutnie niezależnym od miejsca i czasu. Tak więc nauka, trudniąc się objaśnianiem nam

boskiej rzeczywistości, umacnia, chcąc nie chcąc, dowód na istnienie Boga.

Wyraźnie widać, że takie całościowe rozumienie świata staje się coraz popularniejsze u ludzi młodych i wykształconych. Ale są jeszcze ciągle tacy, którzy uważają, że to akurat ludzie znajdują się w centrum wszystkiego (pępkowszechświatyzm). Oni wiedzą, po co został stworzony Świat: dla nich, lecz dalej nie znają odpowiedzi na pytanie: dlaczego. Zadziwiające, jak silny jest antropocentryzm cztery wieki po Mikołaju Koperniku. Ociągał się on z wydaniem „O obrotach ciał niebieskich”, bo wiedział, że fakty to jedno, a jak je chcemy widzieć to drugie.

Jest dużo więcej zjawisk, do rozumienia których nasz umysł nie został przez Naturę przystosowany: nieskończoność, wieczność, nicość, brak zależności przyczyna – skutek (w świecie kwantowym). Nie było nam to na razie potrzebne do przetrwania. Ale może będzie...

Skoro styk nauki i religii ciągle jest kontrowersyjny, to może warto się zastanowić wpierw nad tym, czy w ogóle znajdzie się tu miejsce na zgodę. Religie wszakże stoją w miejscu na nienaruszalnym fundamencie z objawień i dogmatów (prymat modlitwy i pokory nad myśleniem), nauka natomiast bez przerwy musi podważać swój bieżący status (prymat myślenia i wątpienia nad modlitwą).

Albo może zgoła inaczej: czy może spór między ludźmi wiary a nauki jest tylko pozorny i polega na braku wspólnej płaszczyzny językowej: pojęć i terminów? Stale rozmawiają oni o tym samym, tylko że niechętnie i nieudolnie – zaniedbawszy wcześniejszego uzgodnienia definicji.

Czyli wystarczyłoby się postarać.

Autorstwo: Henryk Jurewicz

Źródło: WolneMedia.net